

B R O A D

P E A K

Jest 17 lipca, 4 rano. Decyduję się na wyjście z bazy z zamiarem wejścia na szczyt. Uda się to dopiero za parę dni. Tymczasem w bazie panuje lekki chaos. Parę osób choruje, hiszpański lekarz biega więc od namiotu do namiotu i podaje lekarstwa. Trochę kiepsko to wygląda... Jesteśmy już zaklimatyzowani, małymi krokami zbliża się okno pogodowe, a tu połowa ludzi chora! O dziwo grupa polska jakoś się trzyma. Czyżby był to efekt wcześniejszych zakrapianych odwiedzin w bazie Rosjan i uodpornionych żoładków?-) Pozostali patrzą na nas podejrzliwie i... są trochę zdziwieni naszym ciągłym dobrym nastrojem. Piotr Pustelnik, kierownik naszej 12-osobowej grupy, próbuje nad wszystkim zapanować. Nie ma lekko. Hiszpanie mają ostry temperament i chyba nie polubili się z Baskami. Dwójka Włochów utrzymuje postawę neutralną aż do końca wyprawy.

Z Andrzejem, z którym stanowią zespół, decydujemy się opuścić bazę, mimo iż pogoda ciągle jeszcze nie jest najlepsza. Wieje silny wiatr. Wyruszamy razem ze Słowakami, którzy należą do Horskiej Służby. Idzie nam się dość ciężko. Trzeba znów torować i przecierać ślad, a było już tak dobrze...

W jedyne ani widu, ani słyhu po namiotach Słowaków. Popadają w lekkie zwątpienie, ja również, mimo iż nie miałam w planie tu się zatrzymywać. Zastanawiam się, co dzieje się w dwójce, bardziej eksponowanej i narażonej na silne wiatry. Próbowaliśmy już wcześniej ustalić to przez lornetkę i każdy zespół liczył w duchu na to, że ten mały punkcik tam w górze, to właśnie jego namiot. Niestety, mój nie przetrwał. Nie zostało po nim nawet śladu, a co gorsze odfrunęła też cała jego wartość. Z bólem serca, jak i kręgosłupa, zabrałam na szczęście, do plecaka dodatkową kurtkę puchową, gaz i trochę jedzenia. Jednakże śpiwór by mi się tu przydał... W końcu to już 6400 m, w trójce na 7200 m już w ogóle nie będzie za ciepło, a jeszcze atak na szczyt!

Wywołuję Piotra przez radio, który jest w bazie.

- Piotr, jak ty to mówisz? No risk, no fun?
- Co się dzieje? - podejrzliwie pyta.
- Zwało namiot, siedzę właśnie na naszej pięknej platformie, na której sobie niegdyś stał.

Tu padło nieczuczalne słowo i dalej odpowiedź Piotra:

- Mam dla ciebie jeszcze jedną wiadomość, Andrzej zawrócił, schodzi, nie czuje się najlepiej. Wychodzę mu naprzeciw.

Nie mam zamiaru schodzić, za parę dni pogoda ma być dobra, więc „prześwie-tlam” w myślach namioty, zastanawiając się, w którym mogłabym się przespać. Ką-tem oka dostrzegam, że nie ja jedna to robię. W końcu trzeba gdzieś przencocować, a podejście bezpośrednio z bazy do dwójki zajęło dużo czasu i zabrało sporo sił. W tym momencie słyszę za plecami:

- Nie masz gdzie spać? - pyta ktoś w języku „baskijsko-angielskim” ©.

To Gorri, Bask z mojej międzynarodowej grupy, oferuje mi swoją pomoc.

Uff, przyjemnie w końcu się położyć, co prawda nie w swoim namiocie i bez swojego śpiwora, ale w końcu jest dach nad głową!

Następnego dnia szaleje wichura, wychodzimy z namiotów tylko wtedy, gdy musimy. Wolimy przeczekiwać złą pogodę w obozie drugim, bo na 7200 m już się nie wypoczywa. Inna sprawa, że nawet nie wiemy, co zastaniemy w trójce. Rozsta-wione dwa tygodnie temu namioty mogły odfrunąć, a nikt od tamtej pory jeszcze nie dotarł. W międzyczasie kolejne zespoły przychodzą z dołu, inne rezygnują, jed-nym słowem „ruch w interesie”. Od razu widać, że na Broad Peaku zbliża się „okno pogodowe”.

Wychodzimy z Gorrin do trójki. Pierwszy i na szczęście jedyny raz na tej wy-prawie podchodzę prawie na kolanach, gdyż wiatr nie pozwala nam ustać na nogach. Po paru sekundach ślad Gorriego jest już doszczętnie zasypywany i co chwile oboje kulimy się, chowając głowy przed spadającymi śnieżnymi pyłówkami. Po drodze widzę szczątki przeróżnego ekwipunku, z którym wiatr już zdążył się roz-prawić.

Uff... Co za ulga... Docieramy wreszcie do trójki. Widzę mój namiot!

Stoi cały, lekko przekrzywiony, podsypywany śniegiem, ale wiatr go nie podarł. Gorri nie ma jednak szczęśliwej miny. Tym razem jemu się nie poszczęściło. Z do-bytku Basków nie zostało kompletnie nic - znikło wszystko, włącznie z puchowym

kombinezonem Isabelle oraz śpiworami. Namiot – podobnie jak i mój w dwójce – zniknął. Pewnie dwa tysiące metrów niżej na lodowcu można było znaleźć sporo fajnego ekwipunku. Zabieram Gorriego do namiotu, a następnego dnia dołączają do nas pozostali Baskowie, czyli Isa z Robertem. Isabelle przypada również mój kombinezon i rękawice puchowe, na szczęście wyniosłam do góry dodatkowe ciepłe ubranie. Mamy też dla naszej czwórki dwa pożyczone śpiwory: wystarczą, noc nie jest bardzo mroźna.

Oprócz nas w trójce przebywa jeszcze z dziesięć osób – Hiszpanie i Argentyni, wśród nich Carlos Pauner, zdobywca dziewięciu ośmiotysięczników, w tym K2. Wszyscy dotarli tu dzień wcześniej z nadzieją zaatakowania szczytu. Teraz wyczekują spokojniejszej pogody, okupując namioty, które się ostały. Carlos zaskakuje mnie ogromną ilością papierosów, które wypala, zupełnie nie zważając na to, że na tej wysokości i jest tak mało tlenu w powietrzu ☺.

Nikt specjalnie nie kwapi się do wyjścia. Wszyscy doskonale zdają sobie sprawę, że powyżej jest mnóstwo śniegu i będzie ciężko dostać się do przełęczy. Z drugiej strony jest jasne, nie należy też przebywać zbyt długo na tej wysokości. Bez sensu tracić tu siły i energię, tak więc decydujemy się na atak na szczyt całą silną grupą najbliższej nocy.

Jest 22 lipca, budziki nastawione na godzinę 00.00. Nie chce się jeść o tej porze, ale z rozsądku zjadamy szybkie „śniadanie”. Każdy z nas ma inne upodobania, mnie podczas całej wyprawy nie przechodzi apetyt na suche mięso, nawet na tej wysokości. Mój słowiański żołądek jest chyba przyzwyczajony do tradycyjnego odżywiania. Baskowie natomiast mają zupełnie inne preferencje – np. kakao w dużych ilościach.

Mam porównanie z ośmiotysięcznikiem w Tybecie – w Karakorum jest dużo cieplej. Ponieważ jednak nie mam na sobie kombinezonu, a tylko cienką kurtkę puchową, więc trochę marzną. Wiem jednocześnie, że gdy wzdzie słońce będzie mi z kolei za gorąco. Idziemy do góry tak szybko, jak się da, ale wcale niełatwo jest torować między siedem a osiem tysięcy metrów. Nie ma żadnych śladów, a w nocy nie widać z rzadka rozstawionych traserów. Po godzinie zostajemy już tylko w czwórce



– ja i trójka Basków. Carlos wraz z pozostałymi wspinaczami z Hiszpanii i Argentyny rezygnują. Jak nam powiedział – warunki są zbyt ciężkie. Jednak my nie chcieliśmy tak szybko się poddawać.

Ruszamy dalej sami. Droga do przełęczy na 7900 m nie jest zbyt stroma, lecz bardzo długa i z zalegającym głębokim śniegiem. Nie jest już tak łatwo w czwórce, ale mozolnie pniemy się w stronę Przełęczy. Gdy wychodzi słońce, wreszcie do niej docieramy. Przed nami niewidoczny przedwierzchołek Rocky Summit oraz daleko daleko sam Broad Peak.

Isa z Robertem ruszają pierwszy. Zmieniam jeszcze skarpetki, mając na uwadze przemarznęte kiedyś stopy. W tym momencie Gorri oznajmia mi, że nie jest w stanie iść dalej. Siedzi z głową podpartą na dłoni, tak jakby wyparowała z niego cała energia. Kompletnie nie wiem, co mam robić. Siedzę obok, konsultując się w międzyczasie z Piotrem Pustelnikiem, który obserwuje nas z bazy. Nie chcę zostawiać Gorriego samego. Nie mogę tego zrobić. Isa i Robert są już za pierwszym wzniesieniem, chyba myślą, że to nic poważnego i idą dalej.

Sytuacja jest patowa. Z jednej strony wiem, że nic nie jestem w stanie zrobić, by Gorri stanął na nogi w ciągu kilku minut, z drugiej czuję, że tego dnia mogę pożegnać się ze szczytem. Siedzimy w mocnym słońcu na Przełęczy, nie mogąc iść ani w dół, ani do góry. Czuję, że trzeba coś zrobić, gdyż za chwilę będzie

za późno. Gorriemu tak jakby zabrakło paliwa, jakby zupełnie się spalił. Namawiam go do jedzenia, choć on sam wie, że musi coś zjeść, by stanąć na nogi. Jednakże na prawie ośmiu tysiącach nie wszystko smakuje...

Wreszcie dochodzi do siebie. Jest słaby, ale z minuty na minuty ma się coraz lepiej. Straciłam rachubę czasu. Isa z Robertem daleko z przodu, co najmniej godzinę przede mną, w ogóle już ich nie widzę. Gorri postanawia schodzić, mnie zaś namawia na pójście jeszcze w stronę szczytu, tak więc „pędzę”. Doganiam Isę dopiero przy Rocky Summit. Robert już na nas czeka. Dla niego szczyt jest na przedwierzchołku. Nie jest przekonany, by iść dalej. Nie ma już sił. Dostaliśmy ostro w kość tym torowaniem i szczególnie nasi chłopcy to odczuli. Kobięca determinacja go mobilizuje. Nie namawiamy go, ale i tak postanawia iść dalej.

BROAD

PEAK



Na szczycie stajemy w pięknym słońcu. Dla Basków to pierwszy szczyt ośmiotysięczny, dla mnie drugi. Jesteśmy dumni, że stoimy w tym miejscu, mając za plecami magiczne K2 oraz gniazdo Gasherbrumów. Wiemy jednak, że przed nami długie zejście do trójki, a Robert jest bardzo zmęczony. Wiemy też, że znów będziemy musieli przejść obok zmarłego austriackiego wspinacza, co jest bardzo jednoznaczną przestrożą, że wejście na szczyt to dopiero połowa sukcesu. Tak więc radość zostawiamy sobie na później.

Dwa dni później znów jesteśmy w bazie. Obchodzę swoje imieniny, chyba najfajniej jak tylko mogłam sobie wyobrazić.

Na stole domowe konfitury przy-

wiezione z jakiegoś zakątka Ukrainy, oliwki prosto z Hiszpanii i cała masa różnych przysmaków. Kończy się wyprawa na Broad Peak, ostatnia część Tryptyku. Pozostaje cała masa obrazów, jeszcze zbyt świeżych by je nazwać.

Obok mnie siedzi Piotr Pustelnik, który jest duszą tej wyprawy. Mówi najciszej z naszej głośniejszej i wybuchowej międzynarodowej mieszanki, lecz go nie wykorzystuje, jest po prostu przyjacielski i pomocny. Jak mówi, to była jego ostatnia wyprawa w góry wysokie, choć nikt z nas mu nie wierzy 😊. Dwójka Piotrów – Morawski i Hamor – już są w domu. Zawsze uśmiechnięci, gotowi do działania. Roznosi ich energia, gdy muszą spędzić beczynnym dzień. Andrzej, którego ciągle widzę z aparatem, robiącego zdjęcia w przeróżnych miejscach. Fajnie być w takim Zespole.



